



## **Energia myślenia**

**Z JERZYM JARZĘBSKIM**  
rozmawia MAŁGORZATA SZUMNA

## 1. Błoński: nauczyciel

**MAŁGORZATA SZUMNA:** Nie umiem sobie wyobrazić Błońskiego w sposób statyczny, zawsze widzę go w ruchu. Błoński – którego obraz rekonstruuje na podstawie ułomków, rozproszonych relacji, jego własnych tekstów, nagrań, w których ważniejsze staje się to, jak mówi, od tego, o czym opowiada – jest migotliwy, ta migotliwość jest w nim pewnie zresztą najbardziej pociągająca. Gdybym cię poprosiła, byś spróbował mi pokazać Błońskiego jako osobowość, na co w pierwszej kolejności zwróciłbyś uwagę?

**JERZY JARZĘBSKI:** Na energię myślenia. W nim była jakaś taka niepodatność na mówienie o byle czym. Właściwie każda jego rozmowa była rozmową istotną, a jednocześnie miała w sobie jakąś lekkość. W jego sposobie myślenia był ożenek lekkości z wagą. Z tym, że to jest bardzo trudne do opisania, bo w nim była jednocześnie skłonność do pewnej szarży, do wygłupiania się czasami, ale dosłownie w jednej sekundzie mogliście przejść do bardzo poważnej rozmowy.

**MS:** Kiedy zetknąłeś się z nim po raz pierwszy?

**JJ:** To musiało być na samym początku lat 70. Chodziłem na zajęcia Błońskiego: zaraz po powrocie z Paryża miał wykłady z literatury współczesnej. A potem spotkaliśmy się bodaj w pociągu, jadąc na Łódzką Wiosnę Poetycką. On mnie spytał, o czym piszę magisterium. Odpowiedziałem, że z Gombrowicza. Zapytał, czy znam *Rozmowy z Gombrowiczem* Dominika de Roux. Nie znałem: książka dopiero co wyszła w Paryżu. „Nooo, to pan nic nie zna!!” – wykrzyknął. Ale się zainteresował, a niedługo później prof. Dłuska, moja

promotorka, która na Gombrowiczu się nie znała, poprosiła go o zrecenzowanie pracy. I odtąd już należałem do grupy jego młodych akolitów. Chodziłem na jego zajęcia: to było seminarium magisterskie – już po studiach, więc ta obecność była już na innej, nie studenckiej zasadzie, ja się głównie przysłuchiwałem. Oczywiście, czasem zabieraliśmy głos – mówię w liczbie mnogiej, bo chodziliśmy na to seminarium w kilka osób (Olek Fiut, Wojtek Wysocki, chyba też Michał Legierski, ja) – ale w gruncie rzeczy do niczego nie byliśmy zobowiązani. Wcześniej – jak mówiłem – chodziłem na wykłady Błońskiego z literatury XX wieku, ale to, jak one wyglądały, jest powszechnie znane i przechowało się w pamięci: fakt, że wydawały się tak spontaniczne, ale zarazem – jak się później okazało – w całości były wcześniej napisane. Ich spontaniczność była więc pozorna, one były jednak bardzo porządnie skonstruowane. Struktura dwudziestowiecznej polskiej poezji – podział na linię Przybosa i Miłosza, on to wszystko miał już przemyślane, mimo że wyglądało to tak, jakby się wysnuwało prosto z głowy. Zaś jego zajęcia seminaryjne... Wiesz, jego atrakcyjność w dużej mierze brała się stąd, że on nie był uczonym uniwersyteckim, kiedy pojawił się na uniwersytecie. W pewnym sensie więc stawał przed nami jako taki trochę lepiej znający się na rzeczy kolega, ale zarazem jako ktoś, kto razem z nami w pewne rzeczy się wgryzał. Dotyczyło to zarówno literatury, jak i teorii. Przy czym ta druga była jego piętą achillesową i on zawsze sądził, że nie jest w tym dobry. Miał za to świetną znajomość literatury zachodniej, przede wszystkim francuskiej. Z wielkim zaangażowaniem

## ENERGIA MYŚLENIA

rzucał się razem z nami na literaturę, którą chciał od nowa poznać; nie miał przygotowanych żadnych notatek, z których korzystałby od dziesięciu lat. To było jednak dość istotne: on się wtedy tak naprawdę uczył prowadzenia zajęć, trzeba pamiętać, że dopiero co przyjechał z Francji, gdzie jego zajęcia z konieczności musiały wyglądać inaczej. Więc on się uczył, troszkę jakby stylizował siebie samego, to znaczy próbował sobie wyobrazić, jak powinny wyglądać porządne zajęcia uniwersyteckie i on sam jako profesor.

**MS:** I udawało mu się to?

**JJ:** Wiesz, mnie się wydaje, że charakterystyczna byłaby tu np. taka sytuacja: Błoński przeczytał książkę o funkcjach dramatycznych Souriau, pisał o niej w „Dialogu”<sup>1</sup>, ale przede wszystkim niezwykle zaciekało go to, że może przeprowadzić zajęcia na temat takiego teoretycznego modelu i że na tej podstawie może pokazać, jak to się da zastosować do konkretnych utworów. Więc, oczywiście, on nam wtedy też zadawał jakieś pytania, musieliśmy pokombinować, wymyślać przykłady, ale tak naprawdę to jego samego najbardziej frapowało, że owszem, proszę bardzo, jest takie strukturalistyczne dzieło i że można je zastosować, że jakaś teoretyczna konstrukcja pasuje do rzeczywistości. Widać było, że sprawia mu to przyjemność, iż ta nauka czemuś służy, właśnie taka twarda strukturalistyczna nauka. Ale to ciągle była wizyta w nieswoim magazynie rekwizytów, dlatego że on cały czas był postrzegany jako ten „ducholog”, w odróżnieniu od strukturalistów z Warszawy. I w tym sensie jego obecność w redakcji „Tekstów” była bardzo charakterystyczna: był wprowadzicielem redaktorem naczel-

nym, ale tak naprawdę to tam rządzili Janusz Sławiński, Michał Głowiński, Aleksandra Okopień-Sławińska; Błoński był dla nich kimś dziwnym, trochę z innej parafii. Mam wrażenie, że przyszedł na uniwersytet z głęboko zakorzenionym przeświadczeniem, iż prawdziwa nauka uniwersytecka powinna wyglądać trochę tak, jak ją robią właśnie ci strukturaliści z IBL-u albo profesor Henryk Markiewicz. Samego siebie postrzegał jako kogoś, kto się tam tylko przypadkiem zaplątał, więc musi sobie znaleźć jakąś rację bytu. Może dlatego dość szybko odszedł od literatury *sensu stricto* do teatru, właściwie do dramatu. Uznał, że to jest ważne, że trzeba zacząć mówić o teatrze w stylu bardziej naukowym, ale pewnie też podobało mu się, że to coś nowego, ciekawego, i że trzeba dopiero stworzyć język, który by temu sprostał. Ale ja już wtedy nie chodziłem na jego zajęcia.

**MS:** Pokazujesz mi Błońskiego jako dydaktyka dość jednak w gruncie rzeczy konwencjonalnego. Nie chce mi się to złożyć w całość z wyobrażeniem, które sobie wyrobiłam na podstawie różnych nagrań, zawsze bowiem, gdy go słucham, mam poczucie, że na plan pierwszy wysuwa się jego własna dynamika, pewna niecierpliwść nawet. Zastanawia mnie, czy to miało przełożenie na dydaktykę: na czym opierał się ten podstawowy gest Błońskiego-nauczyciela, poza skracaniem dystansu, stawianiem samego siebie w roli nieco starszego kolegi, o czym już wspomniałeś? Opowiadałeś mi kiedyś o tym, że za bardzo istotną część jego osobowości uważasz potrzebę kreacji. Czy w związku z tym on nie próbował jakoś rozsadzić tych ram, w które go włożono?

**JJ:** Pamiętaj jednak, że on nie był bratem-łata, tu nie chodziło o relacje osobiste, ale o relacje z literaturą. Myślę, że w jakimś sensie próbował, ale raczej w taki sposób, w jaki działa każdy wybitny uczony. Bo jeśli ten wybitny uczony ma pewien pomysł na to, do czego ma służyć literatura (lub cokolwiek innego), to przychodzi po to, by poszukać wśród studentów ludzi, z którymi można by porozmawiać poważnie. Wtedy on ich jakoś tworzy czy współtworzy jako osobowości. A reszta dla niego nie istnieje (bądź też istnieje w niewielkim stopniu); ktoś taki nie dąży do tego, by wszystkich nauczyć mniej więcej tego samego, lecz do tego, by znaleźć partnerów do rozmowy i ich wykreować. I tak było na pewno z Błońskim, on sobie wybierał ludzi.

**MS:** To pokrywałyby się w dużej mierze z tym, co on sam pisał o Kazimierzu Wyce jako nauczycielu. Notował na przykład w jednym z tekstów: „Czy był [on] dobrym pedagogiem? Znowu nie można prosto odpowiedzieć. Był znakomitym, ale tylko dla odważnych, tylko dla samodzielnych. Rutyny, choćby najpożyteczniejszej, wdroyć nie mógł, bo jej nie lubił”. I zaraz dodawał: „Zresztą tych, którzy podając jego myśli nie umieli, z konieczności zapominał. Pamiętam, jak – ogarnięty wyrzutami sumienia, że na seminarium zaniedbuje słabszych – zabierał się do banalnej pedagogii. Robił się wtedy tak niezręczny, że studenci niczego się bardziej nie bali niż »zniżania się« Wyki do ich możliwości”<sup>2</sup>. To umożliwia postawienie ciekawego pytania o porządek kontynuacji: na ile Błoński – jako pedagog – podjął tradycję Wyki, na ile ty uczysz podobnie do Błońskiego?

**JJ:** Niewątpliwie jest tak, że rozmawiam tylko z tymi, którzy chcą ze mną rozmawiać, natomiast reszta siedzi i patrzy w ścianę. Nie przepytuję ludzi, to się zawsze kończy fatalnie.

**MS:** Pytanie o kontynuację wydaje mi się interesujące także z jeszcze jednego powodu. Błoński wielokrotnie podkreślał, że w jego przypadku decyzja o studiowaniu w Krakowie wynikała konkretnie z tego, że chciał studiować u Wyki; od początku fascynowało go to, że Wyka nie tylko jest polonistą uniwersyteckim, ale i kimś, kto na co dzień zajmuje się krytyką. Czy Błoński-nauczyciel to też przejął? Wrócił w końcu na uniwersytet stosunkowo późno, nieco przed czterdziestką, mając za to spore doświadczenie krytycznoliterackie. Czy to się przekładało na sposób nauczania?

**JJ:** On w gruncie rzeczy nie używał tego zbyt natrętnie, dlatego że większości tych rzeczy, które opisywał w książkach krytycznoliterackich, zbyt wysoko nie cenił. Tak że dla niego – przynajmniej kiedy pojawił się na uniwersytecie – najciekawszym doświadczeniem było na pewno, że wreszcie mógł uczyć o naprawdę ważnych pisarzach: o Leśmianie, Witkacym, Gombrowiczu, Miłoszu, Mrożku. Wtedy przecież powstawały załączki jego przyszłych książek. Natomiast tu nie musiał mówić o Magdzie Lei.

**MS:** Ale mnie się wydaje, że to się nawzajem nie wyklucza: na uniwersytecie mógł w końcu uczyć o dobrych pisarzach, ale jednocześnie miał lepszy ogląd całości właśnie dlatego, że znał również literaturę drugo- i trzeciorzędną. To – jak sądzę – ułatwiało mu budowanie pewnej syntezy. W końcu – wtedy, gdy chodziłeś

## ENERGIA MYŚLENIA

na jego zajęcia – Błoński wykladał historię literatury.

**JJ:** Tak, tylko trzeba pamiętać, że czynne uczestnictwo w życiu literackim zakładało wówczas często zajmowanie się czymś drugorzędnym. Nie zawsze, oczywiście, bo był Białoszewski, była Szymborska, były inne istotne zjawiska. Nie pamiętam jednak, by on próbował przełożyć doświadczenia z życia literackiego na zajęcia. Ucząc, Błoński zajmował się chętnie tymi, którzy w życiu literackim nie istnieli, bo ich cenzura nie wpuszczała. Miłoszem na przykład.

**MS:** Czy on jednak nie próbował przyłożyć do dydaktyki innych wniosków wyciągniętych z parania się krytyką? Przecież jednym z najbardziej charakterystycznych gestów Błońskiego-komentatora – często znoszącego, bądź przynajmniej zacieraającego granicę między historią literatury a krytyką literacką – jest takie pokazanie tekstu, jakby ten był zupełnie współczesny; nieważne, czy pisze o Sępie-Szarzyńskim, Witkacym czy Mroźku. Nie robił tego samego, ucząc?

**JJ:** Nie jestem pewien, dlatego że to mimo wszystko jest co innego. Zajmował się raczej najistotniejszymi pojęciami, np. pojęciami organizującymi opozycyjność kategorii u Gombrowicza, i raczej nie podkreślał, że to stanowi część konkretnego życia literackiego czy kulturalnego. Próbował raczej budować modele, modele patrzenia na literaturę czy na człowieka. Wiesz, przeszkadza mi to, że nie pamiętam już szczegółów, to było bardzo dawno. Ale mam zeszyty...

[Przeglądamy. Notatki z wykładów z historii literatury odsłaniają także te pomysły interpretacyjne Błońskiego, któ-

re dotyczą problemów nierozwijanych przez niego w bardziej obszernych publikacjach. Pokazują one jednak przede wszystkim sam sposób jego myślenia: typowa narracja historycznoliteracka jest tu bowiem tylko tłem służącym do tego, by tym mocniej uwypuklić osobowości twórcze pisarzy – zdaniem Błońskiego – najciekawszych].

**MS:** Czy Błoński uczył was wtedy czegoś takiego, o czym od innych na polonistyce nie można było usłyszeć?

**JJ:** Nie do końca, polonistyka była dość otwarta; Wyka na przykład zawsze szczycił się tym, że *Ocalenie* Miłosza nigdy nie zostało wykreślone z listy lektur. Błoński nie byłby tu zatem odosobniony.

**MS:** Błoński w większości relacji pokazywany jest jako bardzo charyzmatyczny wykładowca. Powiedziałaś mi kiedyś, że jedną z cech, które mogły do niego zrażać, było to, że nie zawsze liczył się z reakcją innych; że miewał skłonność do upartej forsowania własnego stanowiska. Czy ktoś o tak silnej osobowości mógł swoich uczniów – mimowolnie – niszczyć?

**JJ:** Myślę, że mógł, chociaż odniósłbym to głównie do takich sytuacji, gdy pojawiali się na zajęciach ludzie, którzy mieli ambicje, ale bez specjalnego uzasadnienia. Błoński natychmiast to rozpoznawał i przypuszczam, że oni się mogli do niego zgłaszać z wyrazami uwielbienia oraz chęcią nawiązania bliższych kontaktów, a on ich po prostu zbywał. Cechowała go, z jednej strony, taka prawdziwa dobroć człowieka, porządny fundament etyczny, a z drugiej strony, pewien rodzaj dezynwoltury, z jaką traktował osoby, które niedostatecznie cenił. To zresztą bardzo często charakteryzuje ludzi o ponadprze-

ciętej inteligencji, nie tylko Błońskiego: zetknięcie się z nimi jest pod tym względem zawsze niebezpieczne.

## 2. Jarzębski: uczeń

**MS:** Błoński był recenzentem twojego magisterium, jak to się jednak stało, że został również promotorem doktoratu?

**JJ:** Dla mnie to było w jakiś sposób oczywiste: Dłuska była promotorką z przypadku, bo nikt w tamtym czasie, kiedy startowałem na seminarium, nie dawał tematów z literatury współczesnej. Nawet Wyka na pierwszych zajęciach, na które poszedłem, zapowiedział, że będzie akceptował tylko tematy z romantyzmu. Dziś to się wydaje nie do pomyślenia. Błoński był jedynym rozwiązaniem. Zresztą on przecież mnie już znał i doceniał ogromną pracę, jaką włożyłem w swoje magisterium o Gombrowiczu.

**MS:** Zaproponowałam ci, byśmy rozmawiali głównie o Błońskim jako nauczycielu, bo sądzę, że była to dla niego rola szczególnie ważna. Mam wrażenie, że interesował go sam proces uczenia; świadczy o tym choćby to, ile razy zastanawiał się nad relacją mistrz – uczeń. Myślę, że w najciekawszy sposób opowiadał o niej w jednym z tekstów poświęconych Kazimierzowi Wyce, bo pokusił się tam również o pewne generalizacje. W jego ujęciu na tę relację składają się trzy etapy. Pierwszy to etap uwodzenia: mistrz ma tu wiele swobody, przysługuje mu nawet prawo do pewnej szarlatanerii, jeśli tylko jest w stanie przekonać w ten sposób ucznia, że stoi za nim wielka wiedza, która dla tego adepta na razie jest jeszcze niedostępna; innymi słowy – gdy erudycyjne popisy stają się elementem przyciągania

go do siebie. Etap drugi to przejście do intelektualnego partnerstwa, w którym drugą stroną zaczynamy traktować absolutnie serio. Wreszcie etap trzeci to czas porzucania mistrzów, wybijania się na niepodległość, proces w takim samym stopniu naturalny i konieczny, jak dwa poprzednie<sup>3</sup>. Czy to, co się wydarzyło między wami, da się opisać przy pomocy jego własnej typologii?

**JJ:** W pewnej mierze tak. Ale tu brak jeszcze jednej rzeczy: wciągania w najważniejsze rzeczy, w których się uczestniczy, ułatwiania kariery. Pamiętam, jak tuż po obronie magisterium Błoński mnie zapytał, co zamierzam zrobić z pracą. A ja powiedziałem, że może bym wydrukował rozdział w „Przeglądzie Humanistycznym”, w dziale debiutów. Jak on prychnął pogardliwie! Bo tego wówczas nikt nie czytał, kojarzyło się to pismo z profesorem Jakubowskim, który był, można powiedzieć, „dworskim” historykiem literatury, posłusznym władzy i znienawidzonym w kręgach opozycyjnych (o czym wtedy nie wiedziałem). Błoński zatem powiedział: „To trzeba drukować w »Pamiętniku Literackim«!”. I dał tekst profesorowi Markiewiczowi, on go wydrukował, a mój artykuł o pojęciu „formy” u Gombrowicza zaraz zrobił się znany w środowisku. Błoński też od razu zabrał mnie na konferencję młodych polonistów do Karpacza (jechaliśmy tam z Krakowa we dwójkę jego fiatem 125p), wprowadził mnie w środowisko IBL-u, spowodował, że dostałem się na ekskluzywną listę uczestników konferencji teoretycznoliterackich zapraszanych imieniem (trudno dziś zrozumieć, jak wiele to wówczas znaczyło; wystarczy powiedzieć,

że naszego ówczesnego dyrektora Instytutu Filologii Polskiej UJ, profesora Sępnia, na tej liście nie było). No i ledwie powstały „Teksty”, już Błoński zamówił u mnie do pierwszego numeru artykuł o „anatomii Gombrowicza”. To były niesamowicie mobilizujące posunięcia – taki kopniak, który mnie prawie z dnia na dzień zrobił kimś w polonistycznym świecie. Przecież kiedy dziś przypominam sobie moją polemikę z profesorem Marią Janion na temat *Opętanych*, z trudem potrafię sobie wyobrazić swoją bezczelną pewnością siebie. Kiedy zaczynałem to starcie, miałem na koncie zaledwie dziesięć czy jedenaście artykułów i recenzji naukowego typu. Szczeniak po prostu! To Błoński mnie w taką pewność siebie wyposażył. On też zaniósł moją pracę o Gombrowiczu do Lema i zapoznał nas ze sobą, co potem przyniosło w efekcie niezwykle ważną dla mnie znajomość i ponad setkę moich tekstów oraz dwie książki poświęcone jego twórczości. Przez Błońskiego poznałem Ritę Gombrowicz. I Miłosza. I Jeleńskiego. Chyba też on skłonił mnie do opracowania tomu Schulza w „Bibliotece Narodowej”. A potem wciągnął do jury Nagrody Kościelskich. Dosłownie co krok napotykam takie przykłady bezinteresownej pomocy z jego strony – i to pomocy w najważniejszych sprawach, takiej pomocy, która mnie formowała jako człowieka i jako krytyka.

Może raz taka jego inicjatywa nie wypaliła. Załatwił mi półroczne stypendium do wiedeńskiego Institut für die Wissenschaften vom Menschen na przetłumaczenie *Słów i rzeczy* Michela Foucault. Tekst bardzo trudny, a szczególnie wymagający dla tłumacza-amatora. Mordowałem

się nad nim okrutnie, w dodatku miałem liczne problemy zmuszające mnie do jeżdżenia do Polski, także do Londynu i do Sofii. Więc w końcu przetłumaczyłem jeden tom, a drugiego już nigdy nie zdążyłem. Ostatecznie Tadeusz Komendant przełożył całość.

Ale wrócę raz jeszcze do Błońskiego – mistrza i twoich trzech faz wpływu – mistrza na uczniów. Zgadzam się z tobą, że taki trójfazowy sposób recepcji mistrza rzeczywiście istnieje, choć ja akurat nie wiem, czy przyswajałem wzorzec Błońskiego w taki sposób. Myślę, że ważny był dla mnie język, jakiego Błoński używał, sposób myślenia, a to wchłania się jakby bezwiednie i człowiek żyje w tym często bez wiedzy o obcym wpływie.

**MS:** A czy zgodziłbyś się, że można mówić w polskiej krytyce o szkole Wyki rozumianej jako zjawisko kilkupokoleniowe? Błoński jako krytyk miałby w takim wypadku być najbardziej bezpośrednim kontynuatorem Wyki, ty – następcą Błońskiego. Jak to rozpisać dalej – jeszcze nie wiadomo.

**JJ:** Nie jestem kontynuatorem Błońskiego z bardzo prostej przyczyny: on był człowiekiem niezwykle zaangażowanym w sprawę literatury, literatura była dla niego zawsze czymś bardzo ważnym. Ja zaś moje studia – takie a nie inne – skończyłem trochę z przypadku i literatura nigdy nie była dla mnie czymś tak autonomicznie istotnym jak dla Błońskiego. To miało przełożenie na późniejszy dobór tematów: w jego działaniach widzę o wiele więcej planów, zamiarów, myślenia o całości. Ja się z kolei interesowałem kilku „Największymi” – i na tym koniec. Mój dług wobec Błońskiego na czym innym pole-

ga, jest raczej długiem wobec pewnego sposobu mówienia, wobec pewnej osobowości intelektualnej; ważne było samo to, że mogłem się znajdować blisko niego i słuchać czasem, co i w jaki sposób on mówi. To nie polegało przecież na tym, że przeczytałem wszystkie jego książki i do nich nawiązywałem, byłem po prostu raczej w jego osobistej aurze. Niesłychanie dużo mu zawdzięczam.

**MS:** Rozumiem. Ale w gruncie rzeczy to, o co próbuję cię zapytać, odnosi się do ostatniego z tych etapów, o których pisał Błoński: etapu uzyskiwania pewnej naukowej samodzielności. Kiedy czytam dziś *Zmianę warty*, mam wrażenie, że jest w tej książce coś paradoksalnego, jakaś rysa. Ona jest dla mnie wypowiedzią autonomicznego już krytyka, posiadającego własne kryteria oceny literatury, odrabiającego jednak na pewien sposób lekcję Kazimierza Wyki, realizującego jego postulat krytyki pokoleniowej. To nie jest kategoria Błońskiego, on szybko z niej zrezygnuje, może jedynym autorem z jego generacji, któremu będzie wiernie towarzyszyć, pozostanie Mroźek.

**JJ:** Weź jednak pod uwagę to, że większość autorów, o których tam pisał, po prostu zawiodła jego nadzieje.

**MS:** To prawda, ale sądzę, że przede wszystkim sama kategoria „pokolenia” nie była dla Błońskiego równie ważna jak dla Wyki, on literaturę próbował ugryźć od innej strony. Chciałabym cię jednak zapytać o coś innego: gdy wracam dziś do *Powieści jako autokreacji*, zwłaszcza do wstępu do tej książki, który ma przecież w dużej mierze charakter manifestu krytyka i historyka literatury jednocześnie, mam poczucie, że bardzo wyraźnie da

się w niej usłyszeć nie tylko twój głos, ale i głos Błońskiego, że twój sposób myślenia – przynajmniej w 1984 roku, gdy ta książka się ukazała – mocno nawiązuje do jego propozycji. Myślisz o tym w ten sposób?

**JJ:** To możliwe, w każdym razie na pewno jest to trafna uwaga w odniesieniu do tego fragmentu, który znalazł się na okładce *Powieści jako autokreacji*<sup>4</sup>.

**MS:** Odnajdujesz się jakoś w takim widzeniu zarówno literatury, jak i swojej roli także dzisiaj?

**JJ:** Chyba tak. Zauważ: tam jest silnie podkreślany postulat pozostawiania blisko czytelniczkiej empirii. I mnie rzeczywiście pozostała bardzo mocna niechęć do mielenia czytanych dzieł w jakichś teoretycznych młynkach – czy to będzie psychoanaliza, czy *queer*, czy postkolonializm, etc., etc. Mam wrażenie, że literatura wychodzi z takich lektur głęboko okaleczona, zredukowana do pewnych tylko elementów, które pasują do teorii. Zresztą bliskie karykaturze są niektóre prace studenckie, pisane czasem przez bardzo inteligentnych i dobrze przygotowanych młodych ludzi, którzy – przyswoiwszy sobie jakieś najnowsze języki interpretacji – uwierzyli, że złapali Pana Boga za nogi i wiedzą już, co jest rzeczywistą treścią całej literatury. A przecież najważniejsze jest w lekturze – dotrzeć do tego jednego, jedyne sposobu, w jaki czytany pisarz widział świat i sobie z nim radził. A to jest z reguły skomplikowana kombinacja tego, co można wziąć z kultury, i tego, co najgłębiej własne i nieredukowalne. Co jakiś czas puszczają mi nerwy i reaguję rykiem złości na takie prace, tańczące na dwóch łapkach przed



Panią Teorią, a zapominając o uważnym i pokornym czytaniu tekstu. I to chyba też mam po Błońskim, który miał kompleksy z powodu teoretycznego niedokształcenia, ale tej teorii chyba w głębi duszy wcale nie kochał. A czytanie – tak!

**MS:** Jakim Błoński był promotorem?

**JJ:** Niewtrącającym się, zostawiał mi zawsze maksymalnie dużo swobody. Uważał, że dziecko samo musi sobie poradzić; wrzucił je więc do wody i zobaczymy, co się wydarzy – może utonie, a jak nie – to może jednak coś z niego będzie.

**MS:** Mówiąc wcześniej o Błońskim jako nauczycielu, ale pewnie i wychowawcy, zwróciłeś uwagę na aspekt, który wydaje mi się szczególnie ważny: na tworzenie bądź współtworzenie osobowości uczniów. To pytanie dość intymne, wykraczające bowiem daleko poza proste przekazywanie wiedzy i kompetencji, dotyczące samego sedna tego, co może się wydarzyć między uczącym i uczniem, ale jestem ciekawa, jak byś to widział w odniesieniu do waszej relacji?

**JJ:** Już ci mówiłem o tym budowaniu pewności siebie. Ale dodajmy, że on wcale nie robił ze mnie bufona, tylko uczył właściwej samooceny. Do tego jest potrzebne poczucie humoru, dystans do siebie samego. Oczywiście, że ze swego stopnia czytania i wykształcenia nigdy nie byłem zadowolony, ale też nigdy nie zżerały mnie niezdrowe ambicje, kompleksy i zawiści, które tak często zatrują atmosferę – nawet na intelektualnych szczytach.

**MS:** Buntowałeś się przeciwko niemu kiedykolwiek?

**JJ:** Nie, bo on nie dominował w taki sposób, który rodzi bunt. Czuję się swobodny i suwerenny w tym, co robiłem.

A poza tym jestem człowiekiem z natury wdzięcznym i noszącym w pamięci to, co od innych otrzymałem. A od niego otrzymałem więcej niż od kogokolwiek, wyłączając może tylko moich najbliższych.

**MS:** Wasza relacja nie była jednak tylko – a może nawet nie była przede wszystkim – relacją intelektualną, była także bardzo silną relacją osobistą. Spróbujesz mi o tym opowiedzieć na koniec?

**JJ:** Odnoszę wrażenie, że Błoński miał do mnie stosunek dość wyraźnie opiekuńczy. Mnie to pewnie dotyczyło w większej mierze niż innych, bo byłem człowiekiem, który stracił całą swoją bliską rodzinę, musiałem sobie sam dawać radę, wtedy zresztą akurat też zakładałem rodzinę własną, potem się pojawiły dzieci, Błoński był ojcem chrzestnym Ani. Więc to powiązanie było trochę jakby rodzinne. Przypuszczam, że w tym jego stosunku do mnie – to może śmiesznie zabrzmie – było coś klasowego, że on mnie tak trochę traktował jak człowieka z inteligencji, który miewał różne problemy życiowe, ale takiego człowieka, którego warto w jakimś sensie wspierać, bo należy do powoli odchodzącej w niebyt klasy czy warstwy społecznej. Uważał, że ona ma wartość sama w sobie; sądził, że w przechowywaniu wartości przez nią reprezentowanych jest coś ważnego. Miałem wrażenie, że my się komunikujemy właśnie na takim poziomie stosunku do pewnych wartości, obyczajów, że jest pewien rodzaj porozumienia między nami wynikający z bliskości środowisk, z których wyrosliśmy.

Jest tu jeszcze jedna rzecz – bardzo istotna w czasach „minionych”. Błoński, który niby to nie należał do otwarcie działających dysydentów, przez wła-

dze traktowany był jako niebezpieczny wróg systemu – może dlatego, że nie bardzo można go było skazać za cokolwiek, a jednocześnie – że poglądy (opozycyjne) miał bardzo wyraźne i jako osobowość charyzmatyczna łatwo pociągał za sobą młodzież. Mógł więc oczekiwać, że będzie inwigilowany, że grozić mu będą jakieś prowokacje. W tych warunkach niesłuchanie ważne jest zaufanie. A on jakoś wiedział, że ja na pewno żadnego paktu z diabłem nie podpiszę. I zresztą nikt z wiadomych służb niczego takiego nawet mi nie próbował sugerować. Karierę pracownika wywiadu – tak. Miałem w nagrodę pojechać na uniwersytet w Nancy. Ale może wtedy odmówiłem na tyle zdecydowanie, że takiej znacznie podlejszej funkcji szpiega w domu Błońskich mi już nie proponowano<sup>5</sup>.

10 lutego 2013 roku minęła piątą rocznicę śmierci Jana Błońskiego, historyka literatury, tłumacza, krytyka, jednego z wybitnych przedstawicieli krakowskiej szkoły krytyki. [przyp. red.]

#### PRZYPISY

- 1 Mowa o tekście zatytułowanym *Teoria sytuacji dramatycznych Souriau* (pierwodruk: „Dialog” 1960, nr 8, przedruk w: Jan Błoński, *Pisma wybrane*, t. 3 *Gospodarstwo krytyka. Teksty rozproszone*, wybór i układ Marian Zaczyński, posłowie Jerzy Jarzębski, Kraków 2010). Recenzja Błońskiego jest o tyle interesująca, że uderza dziś zwłaszcza jej ambiwalencja: pomysły Souriau go pociągają, ale zarazem – przynajmniej wobec części z nich – zachowuje dystans, nie bez powodu *Dwieście tysięcy sytuacji dramatycznych* określa tam „ukoronowaniem osobliwej przygody intelektualnej”.
- 2 Jan Błoński, *Obecność Wyki*, [w:] *Kilka myśli co nie nowe*, Kraków 1985, s. 193 (pierwodruk w: Kazimierz Wyka, *Charakterystyki, wspomnienia, bibliografia*, red. Henryk Markiewicz i Aleksander Fiut, Kraków 1978).
- 3 Referuję w skrócie koncepcję, którą Błoński przedstawił w rozmowie przeprowadzonej w 1977 roku przez Zofię Szlachetę – zob. Jan Błoński, *Tajemnica Wyki*, [w:] Zofia Szlachta, *Mistrz*, Warszawa 1984, s. 17–25 (lub przedruk w: Jan Błoński, *Błoński przekorny. Dziennik. Wywiady*, wybór i opr. Marian Zaczyński, Kraków 2011, s. 251–256).
- 4 Na okładce został zacytowany – w skróconej wersji – następujący fragment wstępu: „Gdzie w tym wszystkim miejsce dla historyka literatury współczesnej? Analizy czysto formalne przestały go bawić, nie ma też ochoty spoglądać na literaturę przez okulary dostarczone z firmy: »Krytyka« – zbytnio deformują obraz i zamazują szczegóły, które jemu zdają się ważne. Jest – na szczęście – outsiderem i wolno mu hołdować własnym, czasem staroświeckim lub niemodnym upodobaniom, jeśli zaś modzie przykłaśnie – to często takiej, która się tworzy w innym rytmie i odmiennym od krytycznoliterackiego środowisku. Stać go więc na budowanie – na własne ryzyko i dla własnego interesu – mostów pomiędzy zjawiskami, których podobieństwa krytyka, uwrażliwiona na pokoleniowe »zmiany warty«, częstokroć nie dostrzega. Stać na zatrzymanie dłuższe przy jednej sylwetce, która wydaje mu się z tych czy innych względów fascynująca; stać nawet na rozdzielanie włosa na czworo. Chciałby także widzieć literaturę, kulturę z dalszej perspektywy, dostrzegać »plan ogólny«, nie dowierza jednak ujęciom słabo zakotwiczonym w empirii, woli przyglądać się elementom formy i z nich dopiero próbuje wyciągać wnioski na temat stanu pisarskich umysłów. Zarazem traktuje literaturę jako przedsięwzięcie o skali »kosmicznej« – bo ona służy do budowy wewnętrznego kosmosu twórcy, wprowadza ład między skłócone żywioły, konsoliduje sprzeczne pierwiastki osobowości. Będzie więc cenił głównie tych pisarzy, którzy z pomocą literatury potrafili pomóc – sobie i nam, potrafili »zbudować świat«, uczynić go zdatnym do zamieszkania” – Jerzy Jarzębski, *Powieść jako autokreacja*, Kraków 1984, s. 12–13.
- 5 Rozmowa została przeprowadzona podczas realizacji projektu badawczego „Formuły nowoczesności. Wstęp do biografii intelektualnej Jana Błońskiego”, finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki na podstawie decyzji nr DEC-2012/05/N/HS2/01278.